

Michał Reziecki

5 Brygada Saperów - działania bojowe w Warszawie i na przyczółku modlińskim

Słupskie Studia Historyczne 13, 65-85

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MICHAŁ REZIECKI

WARSZAWA

5 BRYGADA SAPERÓW – DZIAŁANIA BOJOWE W WARSZAWIE I NA PRZYCZÓŁKU MODLIŃSKIM

**(styczeń-lipiec 1945 r. w zapiskach autora oraz w wypisach
z wybranych dokumentów)**

W historycznym dniu 17 stycznia 1945 r. żołnierze Wojska Polskiego i Armii Czerwonej wkroczyli do ruin i zgliszcz lewobrzeżnej Warszawy, w sposób bestialski zniszczonej, w efekcie zbrodniczych działań Hitlera i Stalina skazujących na zagładę to miasto nieujarzmione; działań co prawda nieskoordynowanych, ale w swej zbrodniczej wymowie i celach jakże spójnych, chociaż rozbieżnych w treściach, to przecież jednolitych w skutkach. Zbrodnie Hitlera wobec Warszawy są powszechnie znane, natomiast zbrodniarz Stalin, kontynuując kłamstwo katyńskie, z premedytacją i świadomie stanął wtedy przy boku Hitlera poprzez haniebną odmowę, a wręcz przeciwstawienie się pomocy walczącej powstańczej stolicy.

Ów dzień 17 stycznia 1945 r. był dniem pierwszych poczynań i przygotowania planowanych działań specyficznej bitwy minerskiej o Warszawę. A każdą bitwę poprzedza koncentracja sił i środków, ogrom różnorodnych zdarzeń, uwarunkowań i zależności. Odpowiednio dzień wstępny przed przewidzianą bitwą to czasami niezwykle doznania i spostrzeżenia, nowe kontakty służbowe i międzyludzkie, doświadczenia i wnioski, które częstokroć nieuchwytnie w beznamiętnych opisach zawodowych historyków. Więcej – są to znaczące, chociaż ulotne smaki i barwy czasu, pobudzające wyobraźnię i uczucia odbiorców historii. Tak rozumiejąc ważność tego rodzaju podtekstów w historii, spróbuję opisać tamten dzień wstępny przed wzmiankowaną bitwą minerską z pozycji emocjonalnego zaangażowania oficera sztabu 5. Brygady Saperów, którym w owym czasie byłem.

Miejsce działania – Trawniki nieopodal Lublina. Data 17 stycznia 1945 r. Odziały 5. Brygady Saperów odbywają planowe, intensywne szkolenie. Tego dnia, gdzieś około południa, do Brygady dociera wiadomość, oznajmiająca nakaz udziału całości jednostki w rozminowaniu stolicy. Niewiele tygodni minęło od dnia powstania Brygady i oto nadszedł czas jej chrztu bojowego. Rozkaz zawiera konkretny szczegół: w dniach 18-19 stycznia Brygada ma być przewieziona transportem samochodowym do miejsca wykonywania pierwszego zadania bojowego.

Wykonując zarządzenie dowódcy, szef sztabu ppłk Jan Matusiak, sformował i natychmiast wysłał do Warszawy grupę operacyjną sztabu z zadaniem wstępnej orientacji w zakresie prac minerskich i wybrania rejonów rozmieszczenia oddziałów Brygady. Na czele grupy stanął mjr Zacharionek, starszy pomocnik szefa oddziału operacyjnego sztabu. Wraz z niezbędną obsługą wchodziłem w skład tej grupy (w owym czasie byłem kapitanem, pomocnikiem szefa Oddziału Operacyjnego sztabu Brygady). Do Warszawy wyruszyliśmy samochodem „dodge” we wczesnych godzinach popołudniowych. Przystępując do wykonania zadania, byliśmy świadomi, iż nasz mknący ku Warszawie samochód rekonesansowy będzie stanowił tylko jeden z elementów, część składową całego systemu przedsięwzięć realizowanych równoległe i ze sobą powiązanych – czyli różnorodnych czynności prowadzonych wtedy celem ukształtowania i sprecyzowania szczegółów jednolitego planu i struktur organizacyjnych warszawskiej bitwy minerskiej, w której był przewidziany tak znaczący udział naszej Brygady. I że tam, w Warszawie, już wiele się dzieje.

W okolicach Cytadeli, na lewym brzegu Wisły, tego dnia działa pluton „wypożyczony” z batalionu saperów 8. DP 2. AWP, dowodzony przez sierż. pchor. Tadeusza Sibilskiego. Jest to pluton specyficzny zarówno pod względem obsady, jak i niezwykłości bojowego użycia. W większości składa się on z warszawiaków, świetnie znających geografię swego rodzinnego miasta. I to jest szczególnym walorem plutonu i powodem jego wypożyczenia do Warszawy z formującej się dopiero armii, szkolonej z przeznaczeniem do przyszłych bojów frontowych. Niezwykły jest też jego młody dowódca, już wtedy mogący niejednego obdzielić szczegółami swojej biografii wojennej. Wychowanek Korpusu Kadetów, w kampanii wrześniowej 1939 r. cekaemista spod Mławy, następnie w obronie Warszawy, tutaj po raz pierwszy ranny. Po ukończeniu podziemnej szkoły podchorążych AK działa w Kedywie Warszawskim, a to znaczy, iż w działaniach dywersyjnych posługuje się bronią minerską, zakochuje się więc w fachu minerskim – i tak to już pozostaje. Uczestnik powstania warszawskiego, największej polskiej bitwy drugiej wojny światowej. Tu zostaje ponownie ranny. Przetransportowany z Czerniakowa na praski brzeg, ledwie wylizał się z ran, a już jest ochotnikiem w odradzającym się Wojsku Polskim, zaszczycony prawem dowodzenia plutonem saperów. Teraz w Warszawie, w nocnych wypadach rozpoznawczych przez zamrażającą Wisłę z 13/14 oraz 14/15 stycznia, penetruje teren na kierunku przewidywanego naprowadzenia mostu pontonowego, jednocześnie sprawdzając stan zaminowania w rejonie Fortu Traugutta oraz ulic: Konwiktorskiej, Boleść, Rybaki i Krajewskiego. W dniu 17 stycznia wraz z plutonem zajmuje się rozminowaniem tego rejonu, osobiście usuwa kilkadziesiąt groźnych niemieckich min przeciwpiechotnych. Ten „wypożyczony” pluton następnie nadal samodzielnie działa w warszawskiej bitwie minerskiej, aż do czasu odejścia na front z macierzystą 8. Dywizją Piechoty. Poznane przez nas później efekty działań tego plutonu były dla naszej Brygady bardzo przydatne, bowiem odnosiły się one bezpośrednio do obszaru przydzielonego do rozminowania.

Inny pododdział saperski (jedna z kompanii 9. bsap z 1. BSap.), także przeznaczony do udziału w działaniach frontowych, w godzinach popołudniowych 17 stycznia otrzymał zadanie przeprowadzenia „szturmu minerskiego” w celu rozminowania

jednej z przelotowych arterii w centrum Warszawy. Przekazany do kompanii rozkaz brzmiał następująco: „Rozminować drogi przemarszu wojsk przez Warszawę, w szczególności Al. 3 Maja, Jerozolimskie, ul. Towarową, Krakowskie Przedmieście, Królewska, Grzybowską i Wolską aż do wiaduktu kolejowego”. Przy tym dowódca kompanii był obciążony osobistą odpowiedzialnością za szczególnie skrupulatne rozminowanie odcinka od Al. Jerozolimskich do dzisiejszego Dworca Głównego włącznie, ze względu na przewidywaną tutaj defiladę jednostek 1. AWP.

Dowodzący kompanią por. Edward Talunas, podobnie jak dowódca „wypożyczonego” plutonu, miał nietuzinkowy życiorys. Urodzony w 1912 r. w okolicach Winnicy na Ukrainie, pracę zawodową podjął jako nauczyciel. W 1933 r. dostał się do Oficerskiej Szkoły Inżynierskiej w Leningradzie, którą ukończył w 1936 r., a już w 1938 r. jako niepewny ze względu na polskie pochodzenie został zwolniony z zawodowej służby wojskowej. Mając status i praktykę nauczyciela, wegetował nauczając doraźnie przysposobienia wojskowego. Między innymi w 1943 r. uczył tego przedmiotu aż w Dagestanie, gdy w maju 1943 r. na własną prośbę wstąpił do formującej się w Sielcach 1. DP. Uznał to za dobry omen, znak nadziei. Uczestnik bitwy pod Lenino, po drodze ranny w walkach pod Puławami, teraz uczestniczył w wyzwaniu Warszawy z zagrożenia minowego. Jego wspomnienia – poza pouczającymi przykładami z techniki sztuki minerskiej – wręcz tętnią i pulsują życiową prawdą o niezwykle trudzie minerskim. A oto potwierdzający to wyjątek ze wspomnień Edwarda Talunasa.

W pierwszym dniu rozminowania zdarzył się niespotykany przypadek podczas rozbrajania miny przeciwczołgowej przez dowódcę 3. plutonu chorążego Jana Pilarzkiego. W minach tych Niemcy od jesieni 1944 r. stosowali czasem zapalniki rozbrajalne, czasem nierozbrajalne. Były one wkładane do otworu miny i zakręcane korkiem. Zapalnik nierozbrajalny był nieco dłuższy od zapalnika rozbrajalnego i miał dwie zawleczki: jedną miedzianą, ścinaną podczas zakręcania korka miny do oporu, i drugą bojową, która była ścinana przy nacisku na pokrywą miny z siłą ponad 100 kg. Niemiecki żołnierz najwidoczniej włożył zapalnik do otworu miny, a przy tym zbyt lekko zakręcił korek. Zawleczka miedziana nie została ścięta podczas tej czynności. Pilarzki chciał usunąć zapalnik z miny, odkręcił korek, wyjął zapalnik, popatrzył na niego i zbladł, przerażony, iż rozbroił minę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa powinna natychmiast eksplodować. Na szczęście to nie nastąpiło. Zaznaczmy tutaj, iż kilka dni później ten szczególny minerski przypadek był wykorzystywany jako przykład ostrzegawczy na odprawach poprzedzających rozpoczęcie warszawskiej operacji minerskiej. Przyznajmy, iż wartość tej informacji dla żołnierzy szykujących się do rozminowania była bardzo ważna. Opuszczając Warszawę w dniu 20 stycznia, kompania por. Talunasa miała gonić maszerującą na front macierzystą Brygadę, pokonując na piechotę 60 kilometrów dziennie. Za nią pozostały rozminowane ulice warszawskie oraz odnaleziony w toku rozminowania skarb w postaci zbioru ważnych dokumentów, a w tym księgi rozkazów Wojska Polskiego z lat 1918-1920.

Naszym pierwszym celem było dotarcie do Szefostwa Wojsk Inżynierskich 1. AWP, stacjonującego w Zielonej pod Warszawą. Tam mieliśmy otrzymać pierwsze organi-

zacyjne wskazówki odnośnie do udziału Brygady w rozminowaniu Warszawy. Do Zielonej dotarliśmy już o zmierzchu. Po różnych perypetiach trafiliśmy do sztabu wojsk inżynieryjnych 1. Armii. Nie zastaliśmy tam ówczesnego szefa wojsk gen. Jerzego Bordziłowskiego. Przyjął nas bardzo rzeczowy i sympatyczny w obejściu jego szef sztabu ppłk Michał Norejko. Oznajmił, iż na generała nie ma co czekać, gdyż: „Jak zawsze w sytuacjach poważnych i tym razem jest gdzieś w jednostkach na głównym kierunku, prawdopodobnie w rejonie zamierzonej budowy mostu pontonowego”. Zaznaczył, iż rozminowanie Warszawy będzie poza zakresem obowiązków Szefa Wojsk Inżynieryjnych 1. AWP, ponieważ tworzy się Sztab Rozminowania Warszawy. Jego szefem będzie dowódca 2. Brygady Saperów płk Piotr Puzerewski. Bliższe dane o rozmieszczeniu mieliśmy uzyskać w Komendzie Miasta na Pradze.

O stanie zaminowania lewobrzeżnej Warszawy ppłk M. Norejko miał informacje jedynie fragmentaryczne, zaznaczył, iż będą one systematycznie przekazywane z powstającego Sztabu Rozminowania. Nadmienił także, że w rejonach działania możemy od razu spotkać mieszkańców Warszawy, którzy nie opuścili jej po wygaśnięciu powstania i dzielnie przetrwali w ruinach miasta (później nazwano ich warszawskimi Robinsonami). W tym miejscu nie można nie wspomnieć o szczególnym minerskim wyczynie tychże Robinsonów, dokonany tuż przed dniem 17 stycznia 1945 r. Jeden z nich, Jan Pęczkowski, co raz opuszczając swoją kryjówkę warszawską, aktywnie rozpoznawał działanie hitlerowców w zniszczonej Warszawie i jej okolicach. Między innymi stwierdził, iż Niemcy przewidują (w przypadku wymuszonego odwrotu) wysadzenie Państwowych Zakładów Inżynieryjnych w Ursusie i dokonali ich odpowiedniego zaminowania. Jan Pęczkowski decyduje się zapobiec temu, angażując do przeciwdziałania ukrywający się w Ursusie pluton podziemnej Armii Krajowej, dowodzony przez por. Kazimierza Jackowskiego. W okresie upadku powstania por. Jackowski swoim podkomendnym wydał rozkaz: „Walczymy dalej. Punkt zborny, w którym się spotykamy – Częstochowa”. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1944 r. pluton wrócił z Częstochowy do Ursusa. Poinformowany przez Jana Pęczkowskiego, por. Jackowski podejmuje decyzję rozminowania zakładów przez swoich podwładnych przy jego udziale. W wypadku nocnym, po uciążliwej i niebezpiecznej „pracy” rozbrojone zostały wszystkie założone przez hitlerowców ładunki wybuchowe, a urządzenia minerskie zniszczone. Przed powtórzeniem przez Niemców próby zniszczenia zakładu wykonawców akcji chroniła gwałtownie zbliżająca się od południowego wschodu kanonada artyleryjska¹.

Dziękując ppłk. Norejce za tak istotne dla nas zalecenia i wskazówki, ruszyliśmy dalej, na Pragę. Major Zacharionok zdecydował, że przed zgłoszeniem się w Komendzie Miasta, jeszcze tego wieczoru dokonamy pierwszego rozeznania w terenie – wyjedziemy na brzeg Wisły po stronie praskiej. Tak właśnie uczyniliśmy i oto stoimy na wiślanej skarpie. Tam, za rzeką jest obiekt naszego przyszłego działania. Ale otacza nas absolutna ciemność. Pozbawieni jakichkolwiek możliwości obserwacji, nasz wypad rozpoznawczy musimy uznać, delikatnie mówiąc, za nieskuteczny. A jednak... Oto widzimy, jak ktoś schodzi z lodowej tafli i idzie w naszym kierunku.

¹ Krajobraz Warszawski. Dodatek do: Ratusz nr 17, XI 1995, s. 13-14.

Ślizgając, drapie się na skarpe, wtem pada i stacza się w dół. Słyszymy najpierw jakby brzęk rozbijanego szkła, później gorzki płacz. Schodzimy w dół, ażeby okazać pomoc. Przed nami staje 10-letni chłopiec. Pytamy, co się stało. Malec opowiada. Wieczorem przez zamarznąłą Wisłę udał się na przeciwległy brzeg, interesowało go, jak tam jest. Wszedł w ruiny. W jednym z penetrowanych domów znalazł różne rzeczy, między innymi dużo pięknych talerzy. Zapakował je do worka, chciał po powrocie do domu obdarować nimi mamę. Ciężki worek przeniósł przez Wisłę. I oto, gdy cel już był tak blisko – upadł i „takie nieszczęście” – szlochał. Płakał, nie mogąc wybaczyć sobie własnej niezręczności – nie będzie pięknego prezentu dla mamy. Pociaszaliśmy go, jak mogliśmy. Odszedł jednak niepokieszony.

A dla nas wtedy okazał się mimowolnym pierwszym zwiadowcą Brygady w lewobrzeżnej Warszawie. To przecież od niego dowiedzieliśmy się, że na przeciwległy brzeg można przejść po lodzie. A więc jeżeli w dniu następnym obydwu brzegów Wisły nie połączy jeszcze most pontonowy – nasze niezbędne rekonesansowe działania na przeciwległym brzegu mogą być podjęte. I dla nas, frontowych wygów, wniosek szczególnie ważny: chłopiec doszedł aż do ruin miasta, a więc na przeciwległym brzegu nie ma systemu ciągłych i zwartych zapór minowych. Kończył się nasz pierwszy warszawski dzień – czuliśmy satysfakcję, że postawione nam przez szefa sztabu Brygady wstępne zadanie zostało wykonane.

Pierwszy zwiadowca Brygady – nie pamiętam jego imienia, nie znam nazwiska. Szkoda, że brakuje wzmianki o tym szczególnym fakcie w spisywanej dzień po dniu historii Brygady, wtedy pamięć o tym pierwszym zwiadowcy nie zniknęłaby. Później, planując w szczegółach wykonanie otrzymanego ze sztabu rozminowania zadania bojowego w dziale „rozpoznanie”, stosowaliśmy jako element nieodzowny systematyczne kontaktowanie się z powracającymi do zniszczonego miasta warszawiakami. Spisywaliśmy zapamiętane przez nich dane o przedsięwzięciach minerskich Niemców, o miejscach znajdowania się niewybuchów i niewypałów. Korzystaliśmy także z ich znajomości terenu, by nie pobiłdzić w labiryntach zniszczonych ulic. W efekcie nasi mineryzy od pierwszych dni rozminowywania Warszawy otrzymali życzliwą pomoc ludności cywilnej, jednak tamten chłopiec był pierwszym.

Dopiero po latach dowiedziałem się o jeszcze jednym wypadzie na lewy brzeg Wisły, dokonany tego samego dnia i prawie na tym samym kierunku. Jeśli jego przebieg i rezultat poznalibyśmy wtedy, to byłby on bezpośrednim potwierdzeniem tego, co wydedukowaliśmy tamtego wieczoru w wyniku wycieczki do Warszawy „pierwszego zwiadowcy Brygady”. Ale nie mieliśmy w owym czasie żadnych możliwości pozyskania meldunku z tego drugiego wypadu, bowiem wykonywany on był przez dwóch reprezentantów AK, a więc (mówiąc eufemistycznie) separowanych politycznie „zapłutych karłów reakcji”.

A było to tak. Tego popołudnia dwaj żołnierze Armii Krajowej, por. Jan Kosowicz i ppor. Jerzy Waszczuk (to właśnie on, ps. „Jur”, „Czernow”, „Edward”, o tym opowiedział), na polecenie swoich przełożonych przeszli po lodzie na warszawski brzeg i przedostali się na teren Starego Miasta (Pan Jerzy, przeszkolony na kursie minerskim, był gotowy do ewentualnego unieszkodliwienia napotkanych min). Otrzymali oni zadanie odnalezienia pozostawionych w jednym ze schowków doku-

mentów, których pozyskanie przez ówczesne służby bezpieczeństwa zagrażało egzystencji członków patriotycznego podziemia. Wyprawa tego bojowego patrolu okazała się bezskuteczna (dokumentów we wskazanym miejscu nie odnaleziono), ale jego szczęśliwy powrót na prawy brzeg był niezaprzeczalnym dowodem tego, iż także wewnątrz miasta nie ma ciągłych zapór minowych. Nie dane nam było wtedy poznać efektów czynności patrolu, ale mimo to warto zachować w szczegółach pamięć o tym niezwykle warszawskim dniu, gdyż budzi szacunek dla osób organizujących i wysyłających patrol i uznanie za ich operatywność, wyobraźnię i przeczorność w postępowaniu. Już w dniu następnym wszelkie tego rodzaju przeprawy znalazły się pod wnikliwą obserwacją i kontrolą posterunków NKWD, mających na celu (jak to stwierdzono w instrukcji) filtrację wszystkich mieszkańców, pragnących przejść z lewobrzeżnej Warszawy na Pragę (co oznaczało sprawdzenie dokumentów oraz zatrzymanie interesujących NKWD osób)².

Po wstępnym zapoznaniu się z sytuacją nad rzeką i załatwieniu niezbędnych formalności w urzędującej Komendzie Miasta, tego dnia nasze pierwsze działanie rekonesansowe zakończyliśmy bez przekraczania Wisły.

Na miejsce nocnego odpoczynku wyznaczono nam jedno z mieszkań przy ulicy Targowej. Bardzo życzliwie przywitały nas dwie jego mieszkanki – jedna nieco starsza, druga młodzianka, która ucieszyła się, iż może gościć ubranych w polskie mundury oficerów (ostatnią wiadomość od narzeczonego, także żołnierza, dawno temu otrzymała gdzieś spod Tobruku, teraz miała nadzieję na rychłe otrzymanie nowych wieści od niego). Podkreślam szczególnie ciepło tego spotkania, mimo że nasz łamany język polski od razu wskazywał pochodzenie z innej armii sojuszniczej³. Była wspólna frontowa kolacja, przy tym dużo różnych wojennych wspomnień, aż stało się – zaczęła się rozmowa o powstaniu warszawskim. Trudno nam było brać udział w tej dyskusji – byliśmy w tej sprawie pozbawionymi wiedzy dyletantami. A do tego jeszcze wysunięte wobec nas przez starszą panią oskarżenie: „Panowie mówicie dużo o wyzwoleniu Warszawy, a przecież to było tylko wkroczenie do opuszczonych przez Niemców ruin i zgliszcz. A gdzie wy, panowie, byliście wtedy, gdy Warszawa krwawiła w czasie powstania, gdy stolicę trzeba było rzeczywiście wyzwolić wspólnym wysiłkiem?”. Jediną naszą obroną przed tym gwałtownym oskarżeniem było stwierdzenie, iż my osobiście w czasie powstania byliśmy na innych, oddalonych od Warszawy frontach i przybyliśmy do stolicy, aby pomóc w uwolnieniu jej od zalegających na lewym brzegu min i niewypałów. Czulimy także, iż oskarżenie to nie dotyczy tylko nas, lecz ma odniesienie do żołnierzy Armii Czerwonej (zdradziła nas skaza językowa, wyraźnie wskazująca nasze pochodzenie z niej).

W sumie był to bardzo dobry dzień wstępu do oczekujących naszą Brygadę zdań. Spełniając polecenie szefa sztabu Brygady, „zakotwiczyliśmy” naszą jednostkę w Warszawie, poznając w niezbędnym zakresie warunki jej przetransportowania do stolicy oraz realizacji minerskich zmagani w jej lewobrzeżnej części wraz ze związanymi z tym podstawowymi zasadami podległości. Więc dobry dzień, chociaż

² Por.: *NKWD i polskie podpole 1944-1945*, Moskwa 1994, dokument nr 21, s. 95.

³ Autor w tym czasie był oficerem Armii Czerwonej.

z tym gorzkim dla nas osobiście akcentem końcowym. Ubrani w elegancko skrojone mundury polskie, serdecznie goszczeni przez przyjmujące nas kobiety, emocjonalnie i rzeczowo związani z naszą jednostką, ale jednakże...

To zdarzenie w mieszkaniu na Pradze było związane bezpośrednio z brakiem narodowej polskiej kadry zawodowej w odradzającym się na wschodzie Wojsku Polskim i przekazaniem do niego znacznej liczby oficerów Armii Czerwonej. Już ten jeden przykład świadczy, iż miało to wtedy spory wydzźwięk społeczny i niewątpliwy wpływ na stosunki służbowe i międzyludzkie w wojsku. Zauważało się to na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej, ale szczególnie rezonans miało w pododdziałach, a więc w miejscach bezpośredniego kontaktu szeregowych żołnierzy z rosyjskojęzyczną kadra. Oto jak to drażliwe zjawisko opisał pół wieku później w pierwszym spisanim wspomnieniu były szeregowy 5. Brygady Saperów, obecnie podpułkownik w stanie spoczynku Tadeusz Ząbik⁴: „Pod koniec grudnia 1944 roku rozpoczęto przygotowania do przysięgi, a szczególnie – szkolenie z musztry. W tym trudnym okresie dowódcami plutonów, kompanii i batalionów byli oficerowie Armii Czerwonej, którzy w większości nie znali języka polskiego. Mieli więc poważne trudności w podawaniu komend według regulaminu polskiego. Na kilka dni przed przysięgą przybył do naszej kompanii prawdziwy polski oficer. Kiedy stanął przed frontem pododdziału, przedstawił się jako porucznik Andrzej Wasilewski, zrobił na nas wszystkich ogromne wrażenie. Był umundurowany w polski mundur oficerski ze wszystkimi odznakami przedwojennego oficera. Wszystkie komendy podawał zgodnie z regulaminem WP. Byliśmy dumni z tego, że właśnie on ppor. Wasilewski przygotowywał nas do tej ważnej w życiu przysięgi wojskowej”. W tym „głodzie” języka nie ma ani krzty nacjonalizmu lub ksenofobii, bowiem w innych wspomnieniach Tadeusz Ząbik z szacunkiem podkreśla fachowość, rzetelność, poświęcenie i osobistą odwagę swoich byłych rosyjskojęzycznych przełożonych. „A w upragnionym dniu przysięgi 7 stycznia 1945 roku po raz pierwszy w życiu zobaczyłem polskiego generała, (był to generał Aleksander Zawadzki) w polskim mundurze, który mówił polskim językiem. Tego nie da się zapomnieć. To było skierowane bezpośrednio do serc żołnierskich, do polskich saperów. Niektórzy płakali ze wzruszenia. Było ono nam bardzo potrzebne, pokrzepiające ducha... Po tym przemówieniu poczuliśmy się w pełni wartościowymi żołnierzami naszej armii”.

Gdy więc w tym świetle oceniam gotowość moralno-bojową naszej jednostki w przededniu wprowadzenia jej do warszawskiej bitwy minerskiej, mam prawo do skorzystania ze szczególnego wniosku płynącego z serdecznych, a także sprawiedliwych wyznań cytowanego przeze mnie szeregowego żołnierza Brygady: do Warszawy następnego dnia miała wyruszyć owiana duchem odpowiedzialnego patriotyzmu, rdzennie polska 5 Brygada Saperów. A mimo wszystko – nazywana tak przeze mnie – „skaza językowa” w owym czasie znaczyła tak wiele. Nie na próżno utkwilo to w mojej pamięci i głębi podświadomości. Była to jedna z najistotniejszych barw tamtego czasu.

To prawda, w tamtej Brygadzie byliśmy dopiero świeżo upieczoną gromadą żołnierską. To również prawda, że w tej gromadzie nieraz doskwierały jakże boleśnie

⁴ „Tak to było”. *Wspomnienia saperów*, Warszawa 1991, s. 37.

różnego rodzaju wspominki i urazy historyczne oraz iskrzące na co dzień animozje językowe. A przy tym wręcz drażniła tak szczególna sytuacja, iż oto Polacy (podoficerowie i szeregowi oraz nieliczni oficerowie) byli dowodzeni i kierowani przez oficerów sowieckich. Ale prawdą jest także to, że w ramach podjętego w Warszawie czynu rozminowania stolicy wszystkich łączyło jedno szczególne spoiwo, a było nim poczucie jednoczącej wspólnoty – wspólnoty o niezaprzeczalnej ważności i wartości. Mieliśmy świadomość, iż oto przez wykonanie tego zadania bojowego uczestniczymy w dziele powojennego odrodzenia Polski. Dla zobrazowania, w czym i jak to „spoiwo” przejawiało się w tamtej rzeczywistości, posłużę się opisem wymownego w treści faktu. Gdy w końcu lutego 1945 r. w przewidywaniu wiosennych roztopów zaszła pilna potrzeba oczyszczenia z min wałów ochronnych nad Wisłą, działania główne poprzedziło rozpoznanie zagrożonego miejsca. Do wykonania tego zadania z naszego 38. batalionu saperów udali się ówczesny dowódca plutonu sowiecki oficer chorąży Arkady Barmin i już w owym czasie bardzo doświadczony minier st. saper Tadeusz Ząbik. Inicjatywę w tym zwiadzie przyjął na siebie dowódca plutonu. Zaiste „minier myli się tylko raz” – doświadczony frontowiec chor. Barmin spowodował wybuch skaczącej niemieckiej miny typu „S”. Ciężko rannego dowódcę z całym poświęceniem próbował ratować (sam poraniony odłamkiem tej miny) st. saper Ząbik. Ranny chor. Barmin niestety zmarł w czasie ewakuacji do szpitala. Była to pierwsza śmiertelna ofiara w 38. batalionie – bolesna utrata współtowarzysza broni i szczególnie smutek minerskiego pogrzebu. Jego przygotowaniem oraz godną, należą uroczystą oprawą zajęli się żołnierze drugiej (macierzystej dla poległego) kompanii, z uwzględnieniem wyjątkowej specyfiki rytuału. Własnoręcznie wykonali trumnę z umieszczoną na cokole sowiecką gwiazdą, zrobioną z mosiężnej łuski artyleryjskiej. Pogrzeb odbył się 28 lutego 1945 r. Żołnierze kompanii na swych ramionach przenieśli trumnę ze zwłokami z Bielan (miejsce postoju batalionu) na wojskowy cmentarz Powązkowski, po bezludnych, zasypanych gruzami ulicach Warszawy. Była to długa, prawie 10-kilometrowa ostatnia droga hołdu i szacunku dla chorążego Barmina. Został on wtedy pochowany opodal okazałego grobu polskich lotników Żwirki i Wigury. Zasłużył na to ten młody, 24-letni sowiecki chorąży z rosyjskiego Czelabińska. Losy wojenne sprawiły, iż oddał On życie w służbie żołnierskiej na polskiej ziemi przy rozminowaniu jej stolicy. Niech ta nasza ziemia będzie mu lekka, a hołd oddany Mu w tej smutnej uroczystości pogrzebowej niech będzie godnym i dumnym symbolem naszej wieczystej polskiej pamięci, wyrazem zadzierzgniętej wtedy serdecznej, wręcz braterskiej wdzięczności i więzi żołnierskiej. Uznajmy też, iż wydarzenie to było również świadectwem zdrowia moralnego całej Brygady i jej żołnierzy.

W tradycji wojskowej obok ważnych wartości moralnych każdy czyn bojowy ocenia się w kategoriach jego efektu i skutków. Dokonuje się tego zarówno w wymiarach statystycznych, jak i w postaci wniosków uogólniających. Należy więc te wymagania także spełnić w odniesieniu do pierwszego czynu minerskiego Brygady w Warszawie. W naszej wewnętrznej ocenie stwierdziliśmy wtedy, że ta pierwsza batalia minerska była dla Brygady, niestety, próbą krwawą: mieliśmy w sumie trzy przypadki śmiertelne, dziewięciu naszych żołnierzy zostało poranionych. „Łupem”

minerów 5. Brygady, a jednocześnie pierwszą miarą ich minerskiego kunsztu i chrztu bojowego były 722 miny przeciwpancerne, 2472 miny przeciwpiechotne, 211 min niespodzianek (w tym około 140 sztuk min-pułapek typu GD-2 zrzuconych z samolotów, a wybuchających przy każdej próbie poruszenia ich z miejsca upadku), a także 5715 odnalezionych w ruinach stolicy, groźnych dla powracających do niej mieszkańców różnorodnych niewybuchów i niewypałów (granatów ręcznych, pocisków artyleryjskich, min moździerzowych oraz bomb lotniczych).

W sumie był to efekt skromny, ale przecież każdy, nawet kilkusetkilometrowy marsz zaczyna się pierwszym krokiem. Wtedy w Warszawie Brygada właśnie swój pierwszy krok uczyniła, był on dla niej pierwszym minerskim wysiłkiem sprawdzającym jej wartość bojową.

Kończąc warszawską część moich zapisek, czuję się wręcz zobowiązany dodać do nich bardzo donośny (moim zdaniem) szczególny fragment wspomnieniowy o wydarzeniu, którego byłem bezpośrednim świadkiem i uczestnikiem. Oto chyba w drugiej połowie lutego 1945 r. dane mi było się zetknąć bezpośrednio z człowiekiem wręcz nietuzinkowym – z dowodzącym wtedy wojskami inżynieryjnymi Wojska Polskiego (ich częścią wschodnią) generałem Stanisławem Lisowskim. Generał przyjechał z niezapowiedzianą wizytą na stanowisko dowodzenia naszej Brygady w Warszawie. Zostałem więc nagle wezwany do dowódcy płk. Andrzeja Stonogi celem przedstawienia generałowi informacji dotyczącej szczegółów bieżących działań Brygady w rozminowywanej przez nią strefie stolicy (w sztabie Brygady prowadziłem wtedy codzienną i okresową sprawozdawczość, tak zwane meldunki bojowe). U dowódcy zjawiłem się w momencie obyczajowo szczególnym. Oto częstujący gościa herbatą ordynans dowództwa saper Michał Ciuk (bardzo sympatyczny gaduła) kończył opowiadanie generałowi swoich losów wojennych (co zresztą – jak dowiedziałem się później – czynił na bezpośrednie życzenie generała). Zgodnie z obowiązującymi mnie zasadami regulaminowymi zameldowałem się generałowi. Dowódca Brygady bardzo życzliwie przedstawił mnie dostojnemu gościowi (życzliwość w kontaktach z podwładnymi była szczególną cechą naszego dowódcy). Po złożeniu meldunku zgodnie z obowiązującym wówczas rytuałem wojskowym poprosiłem o zezwolenie odejścia. Nieoczekiwanie generał mnie zatrzymał, najpierw porozmawiał ze mną po ojcowsku, a później dane mi było uczestniczyć w niezwykle ciekawej i ważnej rozmowie generała z pułkownikiem Stonogą. Najpierw generał wyraził nadzieję, iż niedługo to wielkiej wagi „zamówienie państwowe w stolicy” (dosłownie w ten sposób wyraził się o wykonywanym przez nas zadaniu w Warszawie) zostanie zakończone, bowiem zamierza on w trybie jak najpilniejszym zaproponować Naczelnemu Dowódcy użycie obydwóch działających dotychczas w stolicy Brygad (naszej i 2 BSap.) do wykonania odpowiedzialnego zadania o wymiarze wręcz strategicznym, które już wtedy zdefiniował jako nieodzowne i bardzo pilne działanie w zakresie całkowitego rozminowania wyzwolonego spod niemieckiej okupacji kraju⁵. Generał zwrócił przy tym uwagę, iż będzie to specyficzne postępowanie mi-

⁵ Rozkaz nr 017 dowódcy wojsk inżynieryjnych Wojska Polskiego z dnia 5 marca 1945 r. o przeprowadzeniu całkowitego rozminowania oswobodzonych terenów RP.

nerskie, odmienne od znanych nam tego rodzaju działań frontowych. Tam się ograniczano do wykonania niezbędnych przejść w zaporach z użyciem grup torujących, a tutaj trzeba będzie opracować i ustanowić nowe zasady działania. Chodziło bowiem o całkowite usunięcie min w każdym rozpoznanym polu minowym. Zakładano wykonanie czynności rozminowania przez samotnego wykonawcę – минера na przydzielonym mu odcinku pola minowego. Wyraźnie sugerując potrzebę nowatorstwa w poszukiwaniu racjonalnych zasad całkowitego rozminowania, generał przestrzegał przed niebezpieczeństwem opierania się tylko na skromnych doświadczeniach w tym zakresie w Warszawie. Pragnę stanowczo podkreślić, iż spisane tutaj spostrzeżenia nie były tezami osobistego monologu generała. Nie, odwrotnie, szczególną wartość miała prowadzona z nami otwarta (jakby sondażowa) rozmowa, zachęcająca też do dalszych rozważań i wniosków. W rezultacie w mojej pamięci ułożyło się to w jedną logiczną całość jako informowanie nas o zamiarze dowódcy, a jednocześnie zalecenie prowadzenia dalszej własnej „pracy myślowej”. Wkrótce generał zaczął urzeczywistniać swój zamiar. W odniesieniu do naszej Brygady oznaczało to skierowanie jej do podjęcia z dniem 15 marca 1945 r. całkowitego rozminowania tak zwanego przyczółka modlińskiego – szczególnie gęsto nasyconego minami obszaru wzdłuż Bugo-Narwi i Narwi od Jabłonnej (a więc od zachodnich przedmieść Warszawy) do Ostrołęki. Później, na przyczółku modlińskim, generał Lisowski przypomniał się nam raz jeszcze i to w sposób bardzo znamieny. Gdy już rozstawialiśmy nasze bataliony w konkretnych miejscach działania na przyczółku, dotarł do nas rozkaz Naczelnego Dowódcy ze słowami personalnego uznania dla naszego dowódcy Brygady i podziękowania za warszawskie rozminowanie dla wszystkich żołnierzy Brygady. W treści tego rozkazu było zawarte również zdanie szczególne: „Wolna Warszawa nigdy nie zapomni tych, którzy trudem swym i krwią, pierwsi rozpoczęli dzieło jej odbudowy”⁶. Był to dla nas wyraz wysokiej oceny naszych działań w Warszawie. Zapisy tego rodzaju ocen moralnych zawsze zawierają szacunek do efektów i wartości dokonanego czynu bojowego. Dotychczas pozwalałam sobie mniemać, iż autorem tych szczególnych rozkazowych treści był sam generał Stanisław Lisowski.

A z jaką rzeczywistością bojową spotkaliśmy się na przyczółku modlińskim od pierwszych dni zajęcia pozycji wyjściowych? Ażeby uzyskać adekwatną do sytuacji odpowiedź, proponuję wyczytanie się z największą uwagą w treści dwóch poniższych, zaiście „frontowych”, wstrząsających doniesień i meldunków, pochodzących z pierwszych tygodni podjętych tam przez Brygadę działań minerskich.

Starosta powiatowy Makowa Mazowieckiego w sprawozdaniu do wojewody warszawskiego z 11 kwietnia 1945 r. tak przedstawiał sytuację na ziemi makowskiej: „Duże obszary pól we wszystkich gminach powiatu zaminowane zostały przez Niemców do tego stopnia, że do chwili obecnej wiele rodzin nie może powrócić do swych zagrod i rozpocząć tam odbudowę i pracę na roli. Zaminowane są pola, ogro-

⁶ Obecnie te doniosłe słowa rozkazu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego nr 39 z dnia 14 marca 1945 r. zostały utrwalone w kamieniu na honorowym miejscu przy warszawskim pomniku „Chwała Saperom”.

dy, drogi, rowy przydrożne, a nawet podwórza i posesje w miastach. Wypadki straty życia i ciężkiego kalectwa wśród ludności cywilnej jak i oddziałów wojskowych przeznaczonych do rozminowania terenu są tak częste i liczne, że napawają grozą ludność powiatu”.

W tym samym czasie charakterystyka stanu zapór minowych na tych obszarach była przedstawiana przełożonym przez fachowy zwiad minerski 5. Brygady Saperów⁷ (5-6 kwietnia 1945 r., meldunek nr 24/Inż.): „Podczas zaciętych walk i zmienego powodzenia [...] ustawione tu pola minowe skupiały się jedno na drugim, ciągną się nieprzerwanym łańcuchem. Nie ma żadnego systemu w ustawianiu pól minowych. Cały rejon pokryty lejami od min i pocisków. Dużo min jest zasypanych ziemią. W wytworzonych lejach na nowo ustawione pola minowe, które przez artylerię i lotnicze bombardowania znów przysypane zostały ziemią. Posiadane formularze Armii Czerwonej nie pokrywają się (z rzeczywistością). Na polach dużo rozbitych czołgów, armat itp., skrzynie pełne pocisków. (Do tego jeszcze) wiosenny wylew zalał pola minowe”⁸. Te dwa dokumenty obrazują istne „piekło minerskie” operacji, cierpienia mieszkańców zagrożonych bytowaniem na nafaszerowanych minami terenach i nadludzkiego wręcz wysiłku czekającego kierowanych na te ziemie wyzwolicielei – minerów.

W tej sytuacji nakazem stało się głębsze zastanowienie nad wnioskami płynącymi z treści tych dokumentów, bowiem zawarta w nich była przestroga, iż oto nasze oddziały znalazły się wręcz w przysłowiowym „oku cyklonu”. Należy stwierdzić, że podjęte wtedy przez Brygadę działania w ramach przeciwminowej bitwy odbywały się na terenach szczególnie dotkniętych kataklizmem wojny. Ta prawda poznana przez nas bezpośrednio w miejscu działania podpowiadała konieczność bardzo poważnego zastanowienia się nad metodami postępowania minerskiego. Więcej – narzucała wręcz obowiązek przełożenia naszej (niemałej przecież) frontowej wiedzy i nawyków na „język” konkretnej rzeczywistości. Mówiąc wprost, musieliśmy wtedy przyznać potrzebę posypania głowy popiołem skromności i pokory. Odczuwaliśmy więc pilną konieczność „samokształcenia” od podstaw w zakresie sprawnego wykonania otrzymanego przez Brygadę zadania „całkowitego rozminowania” przyczołka. Efektem tego „samokształcenia” miało być najpierw szczegółowe wypracowanie, a następnie konsekwentne wdrożenie zasad sztuki rozminowania, odpowiadających trudnym wymogom „całkowitego rozminowania”. To samokształcenie było nakazem powszechnym. Miało objąć nas wszystkich i na wszystkich szczeblach w całej Brygadzie – od szeregowego минера poczynając, do dowódcy Brygady włącznie. Tę „myśl sztabową” w pełni zaakceptował nasz mądry i bardzo rozważny dowódca Brygady. Wyjściowymi kryteriami były dwa główne, narzucone przez rzeczywistość problemy: konieczność poradzenia sobie z niespodziewanie dużym

⁷ Dowództwo i sztab rozminowującej w owym czasie ten region 5. Brygady Saperów mieściły się na zamku w Pułtusk, stąd właśnie kierowano działaniami minerskimi na terenie całego przyczołka modlińskiego.

⁸ H. Zotczyk, *Historia 5 Mazurskiej Brygady Saperów 1944-1947*, Wojskowa Akademia Polityczna, Warszawa 1964, praca magisterska, s. 92-93.

(wręcz ogromnym) zakresem prac minerskich przy rozminowaniu przyczółka oraz towarzysząca temu nadzwyczajnemu wysiłkowi codzienna czujność w zapobieganiu dramatowi ponoszonych przez nas strat w ludziach w toku czynności rozminowania:

- usunięto 1 429 933 sztuki różnego rodzaju min;
- straty: 52 osoby zabite i 84 ranne (razem 136 żołnierzy)⁹.

A oto przykłady potwierdzające ogrom prac minerskich na przyczółku. Najpierw wymowne dane dotyczące „rozbrojenia” rozminowanych wtedy niemieckich pól minowych. Pierwsze z nich było rozmieszczone prawie u wrót Pułtuska (3 km od miasta, w pobliżu wsi Olszak). Obejmowało obszar długości 7000 m i szerokości 50 m. Składało się z 4-5 rzędów min – przeważnie przeciwtransportowych i przeciwpancernych, ze wzmocnieniem minami przeciwpiechotnymi. Drugie znajdowało się w części północnej przyczółka, w pobliżu wsi Dąbrówka, Czerwonka, Sewerynowo (16 km od miasta Różan) na obszarze około 7000 m długości i 50 m szerokości. Rozbrojono tutaj 13 300 sztuk min, przeważnie przeciwpiechotnych.

Przytaczając te dwa przykłady, obrazujące rzeczywistą wielkość zadań minerskich na przyczółku, zaznaczymy, iż pojemność minowa każdego z opisanych pól minowych przekroczyła (i to znacznie!) liczbę min unieszkodliwionych przez Brygadę w sumarycznym zestawieniu efektów uprzedniego rozminowania Warszawy. A podobne do tych dwóch przykładów przypadki na przyczółku można byłoby mnożyć.

Podam jeszcze jeden bardzo przekonujący przykład – zestawienie wysiłku minerskiego szczególnie zasłużonych w rozminowaniu przyczółka minerów (w nawiasach podana jest liczba unieszkodliwionych przez nich min):

- kpr. Feliksa Drohomireckiego (11 503 miny);
- plut. Józefa Wojdyły (11 483);
- kpr. Edwarda Majka (8747);
- sierż. Bronisława Lisowskiego (6292).

Ta czwórka dzielnych minerów unieszkodliwiła aż 38 025 min, co ponadjedenaścikrotnie przewyższa efekt działania czterech batalionów Brygady w Warszawie!

Są to wyraziste dowody uprzednio niewyobrażalnego ogromu zadań i zakresu prac minerskich, z którymi Brygada miała się zmagać już od pierwszych dni rozminowania przyczółka modlińskiego. Należy także zauważyć, iż ta prawda o rzeczywistym, wręcz gigantycznym ogromie prac przekroczyła również wyobraźnię przełożonych Brygady, bowiem ustanowili oni absolutnie nieodpowiadające sytuacji wymaganiom realizacyjnym. W nierealnych i niewykonalnych zaleceniach dyrektywnych nakazano nam prace pierwszej kolejności zakończyć do 1 kwietnia 1945 r., zaś prace pozostałe do 20 maja tego roku¹⁰. Tymczasem rozminowanie przyczółka trwało aż do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Przez kilka pierwszych tygodni działalności na przyczółku modlińskim (w myśl ówczesnego wojskowego przysłowia „rozkaz nie gazeta”) sztab Brygady usiłował sporządzić długofalowy plan rozminowania zgodnie z dyrektywami przełożonych.

⁹ Dane cyfrowe dotyczące przyczółka modlińskiego pochodzą z pracy magisterskiej W. Zotczyka.

¹⁰ Rozkaz Naczelnego Dowództwa WP nr 032 z dnia 28.02.1945 r.

Bardzo szybko jednakże doszliśmy do przekonania, iż jest to zabieg czysto biurokratyczny, więcej – wręcz bezsensowny. Ustalenie bowiem ścisłych czasowych terminów działań minerskich w poszczególnych strefach obszaru rozminowania było niemożliwe bez ustanowienia podstawowego miernika jednostkowego, czyli „matematycznego” przełożenia znanych nam powierzchni poszczególnych terenów na nieznaną nam *de facto* (bez uprzedniego szczegółowego rozpoznania) wskaźnik czasu rozminowania. Wskaźnik ten mógł być efektem nieodzownego pełnego rozeznania konkretnych danych o liczbie i charakterze zalegających na poszczególnych odcinkach terenowych min. Tę absorbującą, ale jałową w skutkach działalność sztabową zastąpiliśmy (za pełną aprobatą dowódcy Brygady) zasadami postępowania minerskiego w następującym organizacyjnym „układzie dwójkowym”. Na szczęblu Brygady była to zasada obowiązku systematycznego operacyjnego kierowania, nadzoru i kontroli nad zdecentralizowanym taktycznym wykonawstwem w granicach stref działania i odpowiedzialności naszych batalionów. Odpowiedzialność ta oparta była przede wszystkim na własnym batalionowym rozpoznaniu bezpośrednim, w pełni uwzględniającym zgłoszenia i zapotrzebowanie władz oraz mieszkańców w miejscach rozminowania. Pragnę w tym miejscu stanowczo zaznaczyć, iż tego naszego odstępstwa od ustaleń czasowych przełożonych nigdy i w niczym nie podważał mądry, wyrozumiały i rozważny specjalista generał Stanisław Lisowski.

Odnotujmy także, że od razu po przybyciu na miejsce działań naszych bojowych batalionów zaczął się wykonawczy „wyścig z czasem” (dotyczyło to zakresu, kolejności i tempa realizacji próśb i zgłoszeń). Miało to także bezpośredni wpływ na naturalnie odradzające się w terenie życie. Była to bowiem wiosna, a więc zbliżała się pora orki i siewu. Zapotrzebowanie na czynności minerskie niemal codziennie wzrastało, natomiast liczba czynnych minerów była wyraźnie niewystarczająca. Sięgnęliśmy więc do środka nadzwyczajnego – prawa „mobilizowania” okolicznych mieszkańców do udziału w rozminowaniu, po uprzednim przysposobieniu minerskim na tygodniowym kursie. Ambitnie zakładaliśmy, iż w każdym powiecie na przyczółku modlińskim będziemy mieć 100 przysposobionych do rozminowania cywilów. Podbudowaliśmy ich do działania hasłem „Bądź zdolny do samodzielnego rozminowania własnej zagrody i obejścia”. Przeważnie jednak były to zamierzenia nierealne w praktyce. Jeden z dowódców batalionów słusznie meldował i pytał, czy mamy prawo odrywać od rodzin, nawet na kilka dni, ludzi na ogół pozbawionych przez wojnę dachu nad głową, mieszkańców wojennych ziemianek i bunkrów, których realia życia zmuszają do przedkładania ponad wszystko codziennego zaopatrzenia się w żywność i poszukiwania nasion do siewu. Liczyliśmy się jednak z tym, iż w ten sposób przygotowujemy ludzi zdolnych zauważyć oznaki zaminowania lub wykryć niewypały, aby szybko i właściwie poinformować nasze jednostki. Czasem jednak mieliśmy do czynienia z prawdziwymi cywilami-minerami. Nie pamiętam ich nazwisk, ale tkwi mi w pamięci postać rolnika w średnim wieku z okolic Pułtuska, który przysposobiony przez nas na kursie, rzeczywiście rozminował własną zagrodę. Była taka niemiecka mina „S” (*Springmine*), która po uruchomieniu zapalnika wyskakiwała z ziemi na wysokość około 1,5 m, a po wybuchu w epicentrum tworzyła się strefa nie rażona odłamkami miny. Gdy miner usłyszał syk uruchomionego

zapalnika, miał się szybko położyć. Mieścił się wtedy w martwej przestrzeni i ratował własne życie. Tego doświadczaliśmy nieraz na froncie, takiego postępowania uczyliśmy naszych minerów. Między innymi w czasie rozminowania na przyczółku modlińskim mieliśmy 8 przypadków mimowolnego wyzwolenia wybuchu miny „S” bez najmniejszych zdraśnień na ciele минера, inicjatora wybuchu. Tę prawdę przekazywaliśmy także przysposobianym na kursie cywilom. Wspomniany rolnik po powrocie z kursu stwierdził ustawienie we własnej zagrodzie kilku min „S”. Wypatrywał każdą pojedynczą minę, uderzał w jej zapalnik szpadłem i szybko padał na ziemię. Ten sposób „rozbrajania” min wymyślił sam, ze zrozumiałych względów myśmy tego nie uczyli na kursie. Aż dziw bierze, ale tak było naprawdę – rolnik przeżył, a przy tym szybko rozminował własny kawałek roli.

Od samego początku rozminowywania przyczółka zawisła nad nami zhora tragedii ponoszonych strat. Już w pierwszych tygodniach minerskich działań straty te wynosiły 15 zabitych i 29 rannych (razem 44 żołnierzy). Przytoczmy znamieny meldunek w tej sprawie. Dowódca jednego z czterech batalionów Brygady 9 maja 1945 r. (a więc w dniu, gdy już faktycznie ustały działania wojenne na kontynencie europejskim) z niepokojem meldował, iż podległa mu jednostka od 15 marca (początek rozminowania przyczółka modlińskiego) poniosła straty w liczbie 9 zabitych i 20 rannych.

Co było głównym powodem tego dramatu naszych minerów? Szczególną cechą realizowanych wtedy zadań było uwzględnienie tak zwanej potrzeby wyższej konieczności, a więc działania w szybkim tempie. A przecież do rozminowania wyznaczono jednostki, których kadra nie miała odpowiedniego przygotowania praktycznego w zakresie całkowitego rozminowania, zaś szeregowi minery mieli zbyt skromną praktykę (najczęściej nie mieli jej wcale) w sprawnym wykrywaniu i rozminowywaniu pojedynczych min i pól minowych. Możliwość poniesienia znacznych strat w ludziach pogłębiała jeszcze wiosenna aura. Pola minowe porosły bujną trawą, miny na brzegach rzek zostały zamulone przez wylewy.

Naszej ówczesnej kadrze wyraźnie brakowało wiedzy psychologicznej. Była ona niezbędna w bezpośrednim poznaniu cech charakterów podwładnych i w ustaleniu przydatności poszczególnych osób do wykonania czynności minerskich. Więcej, górowała tu „toporność” frontowa, mająca wyraz w panującym stwierdzeniu: jeżeli nauczyłeś się podstaw saperstwa, to możesz również być minerem. Pragnę podkreślić konieczność szczególnej wrażliwości w tych sprawach. Wiele lat po wojnie usłyszałem bardzo szczerą „spowiedź” wielce przeze mnie szanowanego oficera i mego byłego podwładnego (ale nie żołnierza 5. Brygady Saperów). W czasie wojny w składzie batalionu saperów 8. Dywizji Piechoty brał on udział we frontowej operacji nyskiej, a po wojnie w tym samym batalionie w rozminowaniu terenów w rejonie Jasło–Krosno. W jego składzie między innymi służbę pełniło 12 żołnierzy pochodzących z tej samej miejscowości. W działaniach frontowych zginął jeden z nich, natomiast do końca lata 1945 r. żyło z nich tylko trzech, pozostali zginęli na minach. Opowiadający nie wytrzymał doznań wynikających z tych tragedii. Kiedy nadarzyła się okazja poboru do Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych, z tego poboru skorzystał – a więc uciekł z batalionu. Opowiadający zapytał mnie: chyba po tylu latach dobrej i przyjaznej znajomości obecnie będzie się Pan do mnie odnosił

niechętnie, wręcz negatywnie? Oto moja odpowiedź: nie, Pan dał mi powód do osobistego krytycznego samooskarżenia. Ileż to razy w owym czasie nie zauważyłem u podwładnych minerów oznak skrajnego wyczerpania psychicznego, momentu krytycznego, kiedy tak zmęczonemu człowiekowi trzeba powiedzieć – dość, odsapnij lub w ogóle odejź. W tym miejscu przyznajmy, że problem zapobiegania stratom przez różnego rodzaju przedsięwzięcia organizacyjne, szkoleniowe, a szczególnie w ramach szybkiej wymiany doświadczeń w praktycznych usprawnieniach stał się w tym okresie priorytetowy. Niezwłocznie więc zastosowaliśmy w praktyce minerskiej różnorakie zabiegi zapobiegawcze. Pierwszym z nich było przeprowadzenie na przełomie marca i kwietnia (dokładnej daty nie pamiętam) specjalnego ćwiczenia pokazowego dla całej kadry kierowniczej Brygady i z uczestnictwem dobranych reprezentantów ze wszystkich bojowych batalionów Brygady (doboru uczestników wg ustalonego przez sztab limitu dokonali dowódcy batalionów). Był to przede wszystkim pokaz całości techniki minerskiej, z którą spotkaliśmy się przy rozpoznaniu i rozminowaniu pól minowych wraz z pokazem usuwania poszczególnych min (także już zastosowanego w naszych jednostkach nowatorstwa). Zademonstrowano również wymaganą i potwierdzoną dotychczasową praktyką organizację pracy pododdziałów i pojedynczych minerów (ćwiczenie pilnie obserwowali „emisariusze” generała Stanisława Lisowskiego).

Obok tego jako kolejny środek zapobiegawczy (nie patrząc na bardzo napiętą w potrzebach i czasie działalność wykonawczą) nasz mądry i bardzo doświadczony dowódca Brygady w momentach szczególnie krytycznych stosował praktykę krótkotrwałych przerw w działaniach bojowych naszych batalionów. Jednocześnie z tym wprowadziliśmy w Brygadzie systematyczną codzienną praktykę szczegółowych analiz każdego przypadku żołnierskich strat w czasie rozminowania (bezpośrednią w każdym z batalionów oraz sumaryczną na szczeblu Brygady). Te nasze poczynania zostały zauważone przez przełożonych z wojsk inżynieryjnych. Otrzymałliśmy dlatego nakaz wygłoszenia referatu na temat: *Analiza strat na minach i środki zapobiegawcze im* na zwołanej przez dowódcę wojsk inżynieryjnych Wojska Polskiego specjalnej konferencji w sprawie organizacji działań w całym rozminowaniu kraju. Konferencja ta odbyła się w dniach 15-16 czerwca 1945 r. w Radomiu w ówczesnej siedzibie dowództwa i sztabu 2. Brygady Saperów. Udział w niej wzięli reprezentanci dowództw i sztabów wszystkich jednostek wojsk inżynieryjnych WP, w tym powracających z frontu i natychmiast włączonych w działalność bojową związaną z rozminowywaniem.

Nadszedł czas, ażeby oddać należyty hołd i wyrazić szczególne uznanie dla głównych twórców bojowych sukcesów 5. Brygady Saperów w czasie rozminowania przyczółka modlińskiego. Na froncie za godnych sławy i chwały uznano minerów, którzy osobiście usunęli co najmniej 500 min¹¹. W moich osobistych notat-

¹¹ Tę frontową „normę” pięciuset min przyjęto również jako wskaźnik pierwszego wyróżnienia – nagrody pieniężnej dla minerów – uczestników działań w ramach całkowitego rozminowania kraju (rozkaz Naczelnego Dowództwa WP nr 66 z dnia 13 kwietnia 1945 r. o sposobie odznaczania za usuwanie i unieszkodliwianie min).

kach naliczyłem 17 minerów, którzy w czasie rozminowania przyczółka unieszkodliwili ponad 1000 min, w tym też takich, którzy w dalszych zmaganiach unieszkodliwili ich ponad 10 000. Wymienię dla przykładu tylko trzech z nich. Saper Eugeniusz Skieczynski na całym szlaku minerskim 5. Brygady Saperów zdjął 23 380 min – to rekordzista pod tym względem w Wojsku Polskim. A więc 23 380 razy zaglądał w oczy śmierci i tyle razy ją atakował. Przyrównuję to do ataku na pozycje wroga, ze wszystkimi odczuciami, które towarzyszą atakującemu w tym śmiertelnym zmaganiu, tej ludzkiej trwodze o własne życie, pragnieniu przeżycia jeszcze tym razem... A pan Eugeniusz atakował śmierć tyle razy.

Saper, później kapral, Feliks Drohomecki to bohater. Na przyczółku unieszkodliwił 11 503 miny. Zapamiętałem go jako pozytywnego natręta, który wynalazł i uporczywie proponował mało realny (jakby pobieżny – wydawało się) sposób usuwania bardzo kąśliwych przeciwpiechotnych sowieckich min PMD-6 (drewniany kadłub i tylko 200 gram trotylu, ale wystarczyło, aby zabić człowieka lub okaleczyć go na całe życie). Pan Feliks stosował sposób usuwania ich bez potrzeby bezpośredniego zbliżenia się (wykopanie na odległość – specjalnie skonstruowaną łopatką na długim stylisku). Cześć ci i chwała panie Feliksie, w twojej propozycji wyraziłeś tyle serdecznej troski o uratowanie życia i zdrowia twoim kolegom – minerom. Pamiętam, że już w czasie rozminowywania Warszawy usuwanie właśnie tego typu min stanowiło prawdziwą zmołę. Na 12 wypadków, które zdarzyły się wtedy w Brygadzie, aż 10 przypadało na miny PMD-6.

I wreszcie trzeci: to przypadek szczególny, saper Michał Maryniak, ranny w czasie rozminowywania Warszawy. Mógł po tym opuścić zawód minerski, ale po wyleczeniu, nie zrażony wypadkiem warszawskim, został z nami. Na przyczółku osobście rozbroił 2800 min (na całym szlaku minerskim 5. Brygady Saperów aż 10 200).

Na przyczółku modlińskim wyrastali rzeczywiście prawdziwi bohaterowie rozminowania. Z należnym szacunkiem wspominam ich wszystkich, ale szczególnie podziwiałem tych, którzy działali już po zakończonej na kontynencie europejskim wojnie. Podziwiałem, bowiem sam przez wiele tak dłużeń się miesięcy bezpośrednio stykałem się z grozą działalności minerskiej w toku walk frontowych. Ale wtedy śmiertelne zagrożenie było udziałem wszystkich frontowców – nie tylko minerów. W walce ginęli też piechurzy, artylerzyści, łącznościowcy, pontonierzy i żołnierze wszelkich innych specjalności wojskowych, natomiast już po wojnie w bezpośredniej, ciągłej, codziennej walce ze śmiercią zostali tylko minery. Gdy więc na szalach wagi dziejowej układam wytrzymałość bojową i doznania i jednych, i drugich, zawsze w mojej wyobraźni przeważa ta, na której znajdują się przeżycia minerów powojennych. Dla mnie byli oni godni miana mitologicznych herosów. A 17 minerów z przyczółka modlińskiego to byli nie tylko herosi, ale wyborni, wysokiej klasy mistrzowie sztuki minerskiej. Każdy z nich w sumie unieszkodliwił osobście nie mniej niż 9000 sztuk min. Żaden przy tym nie zginął ani nie był ranny.

Uważam również za uzasadnione zaznaczenie i uszanowanie także prawdy, że sprawność organizacyjna i bezpieczeństwo minerów w akcji były w rękach dowódców najniższych szczebli. Już uprzednio w moich zapiskach warszawskich wzmiankowałem o losach i przygodach dwóch takich „oddolnych” dowódców (por. Edwar-

da Talunasa i sierżanta – podchorążego Tadeusza Sibilskiego, nie należących co prawda do naszej Brygady, ale bardzo nam bliskich, boznaczonych przynależnością do „klanu” minerskiego). Były to notki biograficzne dotyczące ludzi o skomplikowanych i pogmatwanych życiorysach, godnych upamiętnienia w naszej historii. Dodałbym również do tej dwójki biografię (także wspomnianą w moich zapiskach warszawskich) drużynowego z 38. batalionu saperów Tadeusza Ząbika. Obecnie ten „wykaz personalny” uzupełniam dwoma biogramami osób z ówczesnej młodszej kadry dowódczej 5. BSap. – moim zdaniem biogramami typowymi, wybranymi z wielu innych podobnych życiorysów, żywych świadectw barw i specyficznych oznak tamtego czasu.

Józef Ortin, urodzony w Dubnie w 1918 r., został ochotniczo żołnierzem w 18. roku życia. Ukończył podoficerską szkołę saperów w latach 1936/1937. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r. – dowódca plutonu pionierów w 43 pp 13. Dywizji Strzeleckiej. Miał za sobą udział w bitwach pod Tomaszowem Mazowieckim i Inowłodzią oraz saperską robotę na przeprawie na Wiśle w rejonie Samogoszczy, a następnie w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy – niewola niemiecka, z której podoficer Józef Ortin szczęśliwie uciekł w 1942 r. i ukrywał się na rodzinnym Wołyniu. W kwietniu 1944 r. powołany do odradzającego się na wschodzie Wojska Polskiego i awansowany do stopnia chorążego. Jako jeden z pierwszych młodszych dowódców w dniu 27 października przybył do tworzącej się 5. Brygady Saperów i od razu stał się w niej prawdziwym skarbem. Był pierwszym znawcą rodzimych regulaminowych zwyczajów wojskowych i pierwszym przypominającym treści polskiej terminologii wojskowej. Kiedy dziękowałem mu za tę pośrednią pomoc w mojej ówczesnej działalności sztabowej w Brygadzie, skromnie odpowiadał, iż w szkole podoficerskiej uczono go, aby na każdym miejscu w wojsku być zawsze użytecznym. Przysłużył się również Brygadzie w sposób szczególny, biorąc bezpośredni udział w szkoleniu jej pierwszych „własnych” podoficerów. Był wyróżniającym się dowódcą plutonu w rozminowaniu Warszawy i na przyczółku modlińskim. W ocenie podwładnych na tym stanowisku okazał się przełożonym doświadczonym i troskliwym, rozważnym i sumiennym, człowiekiem o dużej kulturze osobistej, o pogodnym usposobieniu, dużej życzliwości. Jednocześnie był dowódcą twardym, stanowczym i bardzo wymagającym. Ale raz w mojej obecności zapłakał – wtedy, gdy z wielkim wzruszeniem opowiadał, jak jego żołnierze na jednym z rozminowywanych przyczółków na północ od Pułtusa wyzwolili ze śmiertelnej opresji starszą kobietę, uwięzioną w ziemiance wśród pól minowych. Przedtem zginęli tutaj jej trzej synowie w czasie kolejno podejmowanych, niestety daremnych prób wydostania się z tej minowej matni. A więc twardy, ale wrażliwy. O takich jak On Matka Teresa z Kalkuty mówiła, iż są honorowi i godni mimo wszystko. Na „wieczną wartość” Józef Ortin odszedł w stopniu pułkownika dyplomowanego w grudniu roku 1990.

Druga notatka biograficzna jest skąpa, ale również wymowna. Podporucznik Jerzy Giżycki – naprawdę nazywał się Jerzy Kurzycki – wstąpił do Wojska Polskiego na terenie byłego ZSRR. Miał wówczas niecałe 16 lat. Nazwisko zmienił, aby utrudnić matce poszukiwania, gdyby chciała zmusić małoletniego syna do powrotu do domu. A więc po prostu uciekł z domu w piekło wojny. Następnie przeszedł drogę fronto-

wą w 4. BSap. Później włączył się do działań minerskich 5. Brygady. Sam o sobie mówił tylko tyle, że z powodu zmiany nazwiska miał wiele nieprzyjemności.

Tuż po wstępnym rozeznaniu się w sytuacji minerskiej na przyczółku modlińskim zrozumieliśmy, iż nasze frontowe doświadczenia, praktyki, nawyki i zasady działania w tamtych warunkach bojowych nie są adekwatne do czekających nas zadań, i to na wszystkich szczeblach. Nazwijmy to wprost – odczuliśmy pilną i wręcz nieodzowną potrzebę doksztalcenia się w tym, do czego nas tutaj przeznaczono – do „całkowitego rozminowania”, a więc do czynności i wymogów uprzednio przez nikogo wśród nas niepraktykowanych. Pojawiła się więc bardzo pilna i nieodzowna potrzeba, abyśmy wszyscy ukończyli specjalną uczelnię, stanowiącą jakby połączenie technikum z uniwersytetem. Technikum – bowiem potrzebni nam byli wysoce wykwalifikowani rzemieślnicy – minerzy, zdolni do samotnego, samodzielnego i odpowiedzialnego działania na przydzielonym im odcinku pola minowego.

Obok nich potrzebna była przygotowana „dolna” kadra dowódcza (dowódcy drużyn, plutonów, kompanii), zdolna do zapewnienia warunków bezpieczeństwa podczas pracy podległych minerów (przydział odpowiednich narzędzi oraz urządzeń i przyrządów pomocniczych dla samotników – minerów, czujna i pełna gotowość do udzielenia im natychmiastowych porad fachowych na każde zgłoszone przez minerów zapotrzebowanie). Miała to być kadra bezpośrednio dowodząca z odpowiedniego punktu obserwacyjnego, umiejąca odpowiednio dobrać miejsce rozmieszczenia tego punktu na przydzielonym dla ich pododdziału obiekcie rozminowania. Wykształcenie minerskie tych dowódców można by przyrównać do obecnych licencjatów (sam byłem podobnym do nich licencjatem, bowiem ukończyłem krótką, sześciomiesięczną szkołę oficerską).

Potrzebni nam byli również wytrawni organizatorzy i sprawni przywódcy – dowódcy i kierownicy (dowódcy i dowództwa batalionów), zdolni do systematycznego, krytycznego analizowania przebiegu działań w podległych im pododdziałach oraz skrupulatnego zbierania, rozpowszechniania i wdrażania w dowodzoną oddziale doświadczeń bojowych, nabywanych w różnych okolicznościach terenowych i na różnych rozminowywanych polach (stopień nasycenia minami i ich rodzaje). Na styku taktyczno-operacyjnym zaliczaliśmy do nich również wszystkich bez wyjątku pracowników – „minerów” dowództwa i sztabu Brygady, obdarzonych (odpowiednio do zajmowanych stanowisk) pełną konkretną odpowiedzialnością w zakresie kierowania, nadzoru i kontroli na całym brygadowym obszarze działania. Mówiąc umownie, był to stopień pełnego wykształcenia wyższego. W efekcie tak założonego i ukształtowanego programu i treści nauki w naszym brygadowym uniwersytecie samokształceniowym spodziewaliśmy się powstania jednolitego systemu postępowania minerskiego odpowiedniego do założeń i wymogów „całkowitego rozminowania”.

Było to zaiste żmudne i bardzo konsekwentne działanie, w pełni samokształceniowe, bojowe uniwersyteckie kształcenie w trybie skróconym, ale zarazem jakże skutecznym i wydajnym, bowiem opartym na metodach najbardziej efektywnych – na codziennych działaniach praktycznych. I w takiej oto strukturze organizacyjnej – po dniu praktycznego realizowania zadań – codziennie odbywało się na wszyst-

kich szczeblach jakby wieczorowe doksztalcanie. Warto też zaznaczyć, że w ramach tych zmagani szkoleniowych Brygada wzmacniała się pod względem moralno-wychowawczym: nabywała takich ważnych cech charakteru, jak hart bojowy i duma żołnierska z godnie spełnianego patriotycznego obowiązku wobec ojczyzny. I nie są to tylko czcze słowa, bowiem efekty kształcenia i wychowania można z satysfakcją odczytać w statystycznych wynikach rozminowania oraz w ciągłym wzrastaniu umiejętności minerskich na wszystkich szczeblach działania i funkcjonowania.

Czuję się uprawnionym do stwierdzenia, iż ten nasz pierwszy „zaoczny uniwersytet” minerski stworzył podwaliny racjonalnego i skutecznego działania 5. Brygady (pułku saperów). Dalej było tylko szlifowanie, udoskonalanie i modernizowanie tego, czego nauczyliśmy się na przyczółku modlińskim. Tutaj też otrzymaliśmy uznaniowe dyplomy – świadectwa wykształcenia i prawo do zademonstrowania naszych doświadczeń na wspomnianej naradzie minerskiej w Radomiu (15-16.06.1945 r.). Również później przekazywaliśmy te doświadczenia podporządkowanym operacyjnie Brygadzie jednostkom saperskim, razem z nami wykonującym bojowe zadanie rozminowania kraju. Oto konkretny tego dowód i przykład: gdy 1. bsap. 1. DP im. Tadeusza Kościuszki po powrocie z frontu został na czas 16.07-31.10.1945 r. operacyjnie podporządkowany 5. BSap., miałem zaszczyt osobiście wprowadzić go do działania minerskiego w obszarze Brygady. Dowództwo batalionu otrzymało całość materiałów z praktyki organizacji, metod i sposobów całkowitego rozminowania terenu, zaś samo wprowadzenie jednostki poprzedzone było specjalnymi ćwiczeniami pokazowymi.

Zauważmy, iż podobne zasady wprowadzania do działań tej i innych jednostek frontowych (a także organizowanych po wojnie) ułatwiały podejmowanie przez nie zadań całkowitego rozminowania. W ten bowiem sposób dysponowały one całym dobrodziejstwem doświadczeń, nabytych przez Brygadę na przyczółku modlińskim. Z ubolewaniem trzeba stwierdzić, iż praktyka naszego uniwersytetu samokształceniowego – „jego konspekty i skrypty” gdzieś po drodze zostały zagubione lub wręcz zaprzepaszczone i zmarnowane. A to wielka szkoda¹². Wertując zachowany w moim domowym archiwum, przedstawiony na naradzie w Radomiu (na wyraźne zalecenie przełożonych) referat dowódcy Brygady na bolesny temat analizy strat minerów na minach, kategorycznie stwierdzam (po tylu latach od czasu sporządzenia tego dokumentu) jego nieprzemijającą wartość użytkową. Mimo wyraźnego braku w nim niezbędnych odwołań do wiedzy psychologicznej, tak w tym przypadku potrzebnej, a nam wówczas nieznanej, przekonujący jest sam jego ogólny układ treści. Obejmuje zarówno analizy uogólniające, jak i przykładową ocenę pododdziałów najlepszych oraz negatywnych zjawisk w pododdziałach o największej liczbie strat w ludziach. Godne uwagi są także przytoczone w referacie szczegółowe przykłady poszczególnych zdarzeń i spostrzeżeń analitycznych, jak chociażby obserwacja ówczesnego dowódcy 39. bsap. mjr. Emiliana Taradajenki. Dowódca batalionu zaobserwował bardzo charakterystyczne zjawisko szkodliwych instynktownych (nawyko-

¹² W tym miejscu bardzo kusi mnie chęć napisania gniewnego artykułu na temat *Dzieje głupoty w wojsku*.

wych ruchów) minerów, zagrażających ich osobistemu bezpieczeństwu w toku czynności rozminowania w konkretnej sytuacji minerskiej. Podczas rozminowywania przez batalion rejonu nasyconego wyłącznie przez przeciwpiechotne miny PMD-6 major Taradajenko zainteresował się faktem, że w razie wypadków z tego rodzaju minami minerom zawsze urywało lewą nogę. W celu zbadania przyczyn tego zjawiska do pododdziałów udali się oficerowie sztabu batalionu. Jeden z podoficerów sformułował taką ocenę: u każdego minera lewa noga jest odstawiona na „spocznij”, zawsze odpoczywa i wlecze się. Miner nie zwraca uwagi na jej ruch i instynktownie uchyla się od sprawdzenia tego rodzaju wykonanego odruchu. W pododdziałach przeprowadzono więc specjalne pogadanki i sami minerzy potwierdzili tę ciekawą teorię „lewej nogi”.

Te zaprzepaszczone dokumenty z naszego ówczesnego powszechnego samokształcenia mogłyby być przydatne w kraju i poza granicami Polski w ramach solidarności międzynarodowej, nawet obecnie. W czasie licznych przecież konfliktów zbrojnych po drugiej wojnie światowej w wielu miejscach nasza planeta została wręcz zaśmiecona zaporami minowymi. Według danych ONZ z końca ubiegłego wieku pod powierzchnią ziemi w 64 państwach znajdowało się około 110-120 milionów min. Rocznie w wyniku ich wybuchów na całym świecie ginęło około 10 tysięcy osób, nie mówiąc o kalekach. A więc niewątpliwie nadejdzie taki czas, gdy przed rządami wielu krajów stanie problem konieczności rozminowania. Nasze polskie doświadczenia mogłyby się zatem okazać przydatne innym.

Obok naszego działania bojowego i powszechnego samokształcenia minerskiego na przyczółku modlińskim w owym czasie nawiązała się bardzo serdeczna i obustronnie korzystna współpraca, wręcz przyjaźń między „biorcami” efektów rozminowania – tubylcami i władzami regionalnymi oraz „dawcami” tych efektów – dowódcami i minerami batalionów bojowych. Świadom jestem, iż na ich styku nasze zawodowe życie przez cały czas było bacznie i życzliwie obserwowane, bardzo skrupulatnie i rzeczowo oceniane. To moje mniemanie potwierdza fakt, że po 50 latach, w epoce odrodzenia szacunku dla własnej historii regionalnej i lokalnej, w Pułtusk i na ziemi pułtuskiej oraz na przyległych do niej terenach nadnarwiańskich odrodziła się pamięć o czasie rozminowywania. Dzięki temu pozostaliśmy we wdzięcznej pamięci wszystkich żyjących jeszcze uczestników tamtych wspólnych przeżyć, ale również w pamięci ich potomnych. Dotyczy to szczególnie regionu pułtuskiego. Należy w tym miejscu zaznaczyć, iż zbieg zdarzeń historycznych jakby zobowiązywał do tego właśnie ten region. Stąd 15 marca 1945 r. „wyruszyła” bojowa działalność minerska w celu całkowitego rozminowania północno-wschodniej części kraju. Dlatego wszystkie podejmowane tutaj przez władze i organizacje przedsięwzięcia wspierane są przez społeczeństwo ze zrozumieniem i życzliwością. Należy także podkreślić zawsze patriotyczną i wielce humanitarną postawę miejscowego kleru. Badania naukowe podejmują tutaj pracownicy Pułtuskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej, wspomagani ambitną i twórczą działalnością regionalnego Pułtuskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego oraz kunsztem informacyjno-propagandowym (nie tylko w skali krajowej) mieszczonego się obecnie w zamku pułtuskim Domu Polonii. Przypomnianiu o czasach rozminowywania sprzyjało także

usadowienie się w garnizonie pułtuskim (aż do rozwiązania w 2001 r.) 1. Pułtuskiego Batalionu Saperów – jednej z jednostek wojsk inżynieryjnych, kontynuujących podjęty przez 5. Brygadę Saperów trud rozminowania ziem nadnarwiańskich. Te miejscowe uwarunkowania, skumulowany wysiłek woli i energii oraz intelektualne poszukiwania form i metod upamiętnienia operacji rozminowywania zaowocowały przede wszystkim wpisami „materialnymi” do historii miasta. Oto tego dowody. Na podzamczu Domu Polonii znajduje się tablica pamiątkowa z napisem o następującej treści:

*W miejscu stacjonowania Dowództwa i Sztabu 5 Brygady Saperów
w 1945 r. mieszkańcy Pułtuska składają hołd saperom Wojska Polskiego
poległym w czasie rozminowania Pułtuska i okolic*

Pułtusk 15 VIII 1999

Na terenie koszar byłego miejscowego garnizonu zbudowano obelisk pamiątkowy, na którym wymienieni są wszyscy żołnierze – minerzy 1. Pułtuskiego Batalionu Saperów, którzy oddali swe życie w powojennej walce z „zardzewiałą śmiercią”.

Dwa pierwsze, urządzone na nadnarwiańskich wałach nadrzecznych, spacerowe bulwary miejskie (powojenna ozdoba tego urokliwego miasta, prawdziwej Wenecji słowiańskiej) mają honorowe nazwy ściśle związane z historią operacji rozminowania – jeden z nich nosi miano 5. Brygady Saperów, drugi nazywa się bulwarem 1. Pułtuskiego Batalionu Saperów.